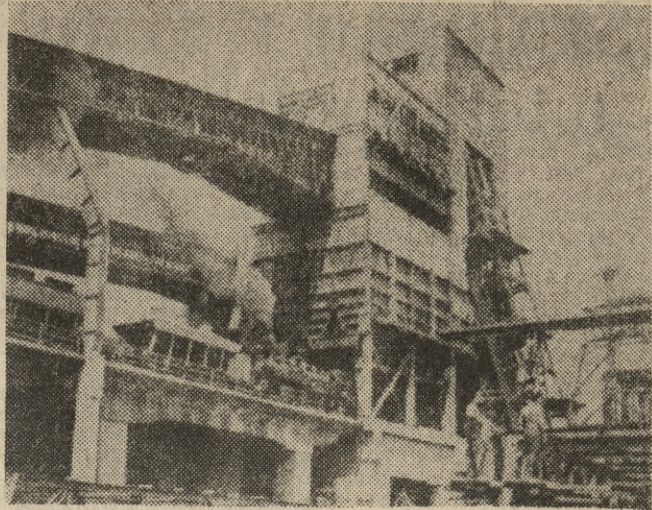




W Kunczycach w obwodzie ostrawskim w Czechosłowacji zbudowano potężny kombinat hutniczy im. Klementa Gottwalda.

Fot. — CAF

Z bratniej Czechosłowacji

LATA I LUDZIE

Był mroźny grudzień 1932 roku. Przed domem wiejskiego starosty w Kunczycach zebrały się tłumy głodnych, wymęczonych ludzi. 23 grudnia wieczorna gazeta w wiadomości pod tytułem: „Demonstracja bezrobotnych w Kunczycach koło Ostrawy” pisała: „Wczoraj do starosty Wawrzyna przyszła liczna delegacja bezrobotnych, która popierała ponad 150 bezrobotnych, zebranych przed domem. Delegaci żądali wypłacenia głodującym zapomogi z okazji świąt Bożego Narodzenia. Wawrzyn starał się przekonać delegację, że nie ma na ten cel funduszy, ale zebrani przed domem żądali z krzykiem, by prośba ich została spełniona. Wreszcie starosta był zmuszony dać wzburzonemu tłumowi obietnicę, że zwolane zostanie posiedzenie, na którym postara się rozstrzygnąć tę kwestię.”

Od owych chwil minęło niewiele ponad 20 lat. Jeżeli jednak spojrzeć na obecne Kunczyce — to można pomyśleć, że minęły już wieki. Dzisiejsze Kunczyce stały się sławą całego kraju, zapisały się jako jedna z najpiękniejszych kart historii ludu Czechosłowacji. Tu bowiem wyrosła pierwsza w republice wielka budowa socjalizmu — nowy kombinat metalurgiczny im. Klementa Gottwalda.

Nadeszła wiosna 1949 roku. Na świeżym zieleni jak zwalono pierwsze bele podkładów. Młodzi rozpoczęli budowę nowej linii kolejowej. Na wysokim maszcie załapał niebieski sztandar Czechosłowackiego Związku Młodzieży. Kunczyce stały się magnesem — ze wszystkich stron kraju na budowę przyjeżdżali młodzi robotnicy, chłopcy, studenci. Łączyło ich jedno marzenie: wziąć udział w wznoszeniu pierwszej budowli socjalizmu.

Z takim uczuciem przyjechała na budowę Anka Czornochowa. Z początku, wracając z pracy, z trudem wlokła nogi i jak kamień waliła się na łóżko. Jej brygada karczowała wówczas pnie na dnie dawnego stawu — trzeba było oczyścić drogę dla torów kolejowych. Praca w błocie, w grząskiej glinie była trudna. Pewnego dnia woda przerwała tamę i runęła na osuszony już teren. Co się stało z tamą — podmyła ją woda, czy też...? A na domiar złego zlała się jeszcze pompa. Co robić? Anka, gdy powiedziano jej o tym, usiadła i... rozplakała się. A potem wspólnie zdecydowano: musimy wyciągnąć wodę wiadrami. Po kilku dniach na osuszonym znów terenie praca ruszyła w zdwojonym tempie.

„Termin musi być dotrzymany!” — myślała nie dawając Ance spokoju. Ciągłe wydawało się jej, że roboty postępują zbyt wolno naprzód. Wieczorem zacytywała się książkami. Kiedyś wpadły jej do ręki reportaże Fuczika ze Związku Radzieckiego. W ten sposób młoda brygadystka dowiedziała się o socjalistycznym współzawodnictwie. Zachwyciła się, a potem ogarnęła ją zazdrość. Namówiła przyjaciółkę i dwóch kolegów — tak powstała pierwsza na budowie brygada szturmowa. Z początku było ich w brygadzie czworo, ale każdy wykonywał nie mniej niż dwie normy. Jednych dziwiło to, innych złościło. Jak to: drobniutka dziewczyna, której ręce miały dotychczas tylko do czynienia z miękkim filcem w fabryce dam-

skich kapeluszy, mogła wykonywać stale po dwie normy! Ubolewo to chłopcy — co, jesteśmy gorsi? I oto powstała druga brygada, potem trzecia, czwarta, trzynasta...

Leciały dni, tygodnie, miesiące. Budowa rosła. I oto na gle budowniczych zaczął mówić jak o czymś normalnym, zwykłym — o wielkim piecu, o odlewni, koksochemi, o elektrowni. Wtedy to przyszedł do pracy Wojciech Szranko.

— Kiedy przyszedł on po raz pierwszy do pracy — opowiada Andrzej Grabiec, majster montażu wielkiego pieca — to tego samego dnia po prostu uciekł z roboty. Przeląkł się wysokości, wystraszył się deszczu iskrer syjących się z kuzni, gdzie wykonywano nity. Ale następnego dnia przyszedł. Chłopcy natychmiast posłali go do magazynu „po drewniane nity”. Poszedł z powagą na minę. Możecie sobie wyobrazić, ile było potem śmiechu. A teraz...

Teraz Wojciech Szranko, dzie wietnastoletni chłopak z zapadłej słowackiej wioski, stał się pierwszym montażystą niterem, którego za nic nie utrzyma się na dole — zawsze idzie na najbardziej niebezpieczne miejsca.

Młody technik Alojz Buchtik przyszedł na samą początku budowy. Dotychczas budował tylko niewielkie domki mieszkalne. Gdy dano mu rysunki techniczne podziemnych zbiorników na koks i węgiel — opuścił ręce: wydało mu się, że nigdy nie zdola rozzeznac się w zawiłych liniach rysunków. Nie da rady — trzeba stąd iść. A jednak został. Jakże wspinał się był ów wiecór, gdy mógł zameldować: „Podziemny zbiornik — gotowy!”

Czas leciał. W krzepnącej coraz bardziej, serdecznej przyjaźni budowali kombinat Czesi i Słowacy, Polacy i Węgrzy. I każdy z nich pokochał budowę tak, jak jakąś żywą istotę. Każde niepowodzenie na budowie przeżywali jak własne nie-szczęście, sukcesy stawały się prawdziwym rodzinnym świętem.

Na zawsze pozostanie w pamięci budowniczych kombinatu Nowy Rok 1952 roku, dzień, w którym pierwszy wielki piec dał pierwszą surówkę. Młodzież z pieśnią na ustach, brygadami maszerowała ku wielkiemu piecowi. Na wietrze leptały sztandary. Cały teren wokół pieca, rusztowania, rurociągi, były wprost czarne od ludzi. Po raz trzeci budowniczym witali przybyłego do nich w gościnie Antonina Zapotockiego. Przyjechał on po-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Li Tai - po

702 — 763 (n. e.)

UCZTA

Dzban bulgocze słodkim winem,
pośród kariatów je wypiję.
Trzech nas tylko: księżyc siny
i przyjaciel, cien mój miły.

Księżyc siny winem gardzi.
Cień? On także go nie łaknie.
Pieśń więc mój w blasku martwym,
z cieniem czule ruszam w taniec.

Po biesiadzie czas rozstania
dla mnie tylko jest weselem,
księżyc w drodze mrok odsłania;
idę z cieniem różnie, śmieję.

Spiszczył T. H. NOWAK

SNOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU”

Niedziela 26 VI 1955

Rok VI Numer 25

Uroda tańców ludowych

Eliminacje amatorskich zespołów artystycznych w kraju wróciły jeszcze gólną uwagę na zespoły taneczne naszego regionu, bo dają najliczniejsze i najbardziej malownicze w kompozycjach ruchowych. Dzięki tym zespołom poznaliśmy na nowo bogactwo polskich tańców ludowych, wykonywanych nie jednokrotnie z zadziwiającą precyzją i prawdziwie polskim temperamentem. Stosunkowo mały narybek spośród tancerzy nie może przesłonić oczywistego dorobku amatorskich zespołów tanecznych w Poznaniu i Wielkopolsce. (Sukcesy zespołów wiejskich na eliminacjach w Olsztynie.)

Przyjrzyjmy się pokrótce tym najbardziej typowym tańcom polskim, pomijając jedynie tak stare tańce jak prastawiańska „Sobótka” lub też charakterystyczny polonez, który jakkolwiek uważany za taniec szlachecki, wywodzi się jednak z dawnego tańca ludowego zwanego „chodzonym”. Ciekawe szczegóły na ten temat znajdujemy między innymi w broszurze Tadeusza Zyglera pt. „Polskie tańce ludowe”.

Jednym z najbardziej ulubionych tańców na estradzie amatorskiej jest krakowiak, najstarszy obok poloneza taniec ludowy. Wchłonił on w siebie stare tańce ludowe, dawniej samodzielne lub wchodzące w skład obrzędu weselnego. Charakterystyczne przyśpiewki i przypitki nadają mu sporą dozę wigoru, a barwne stroje z pawimi piórami oryginalnej malowniczości. Ciekawy opis krakowiaka z początku XIX wieku znajdujemy w „Wiesławie” — K. Brodzińskiego, który trafnie scharakteryzował główne figury tego tańca, wzbogacającego się w każdym regionie polskim nowymi elementami ruchowymi. W dawnych czasach warstwy uprzywilejowane nadały temu tańcowi bardziej salonowy charakter, obecnie nawet na wsi — krakowiak ma raczej charakter tańca pokazowego, który się tańczy na popisach świetlicowych lub uroczystościach wiejskich.

Niemniejsza popularnością cieszy się trudny, lecz efektowny mazur o charakterystycznym trzechmiarowym rytmie. Zanim taniec ten ostatecznie się wykrystalizował pod wpływem poloneza, obertasy i krakowiaka, znany był na Mazowszu jako „wyrwas”, „gniewus” i „goniony”. Dawna szlachta taniec ten ujęła w karby kompozycyjne i ustaliła figury, dawniej dowolnie kombinowane przez wodziarzy, którzy w mazurze mieli więcej pola do popisu niż w innych tańcach ludowych. Charakterystyczne figury wzięto z dawnych obrzędów ludowych, tańców lub gier, jak na przykład krakowska figura, odbijany i zwodzony. Dzięki Chopinowi głównie mazur stał się nawet popularnym w muzyce, podobnie zresztą jak polonez, a przez licznych kompozytorów oper i baletów został wpro-

wadzony na sceny całego świata.

Najbardziej męczący i porwisty w rytmie oberek, zwany także „drygantem”, „drobny”, „okrągły” lub „zbi-jaczem” — wykazuje pokrewieństwo muzyczne z mazurem. Rozpowszechnił się łatwo w całej Polsce, a choć jest tańcem na pozór hataśliwym, stanowi odbicie najbardziej beztroskiej zabawy. Na Mazowszu i w Krakowskim tańczony jest bardzo żywo, najwolniej zaś na Podlasiu.

Tańcem o szerokiej skali nastrojów jest malowniczy kujawiak, pochodzący z Kujaw, a rozpowszechniony w całym kraju, tańczony również jako taniec towarzyski. Kujawiak jest niewątpliwie najbardziej urozmaiconym w formy ruchowe tańcem ludowym, a jego melodie, to prawdziwe arcydzieła polskiej liryki ludowej. Kujawiak w swym rozwoju łączy w sobie wiele odmian i sposobów tańczenia, poprzez chodzonego, niesionego, śpiącego (tancerka często opiera głowę na ramieniu tancerza), odsibka (tańczący wykonują zwroty od siebie i do siebie), okrągłego czyli równego (tańce wirujące z improwizowanymi figurami popisowymi partnera), kolebanego i siarczystego. Zakończeniem całego tańca jest zazwyczaj kujawiak na talarku, w którym pary zwrócone ku sobie twarzami, wirują bardzo szybko w jednym miejscu.

Niemniej bogatym regionem w tańce ludowe jest prastary Śląsk, gdzie trojak jest bodaj najcharakterystyczniej-



Polonez.

szym tańcem. Tańczy go trójkami — stąd nazwa. Posiada wiele cech wspólnych z tańcem kaszubskim — wetrojnikiem. Część pierwsza tańca w takcie trójkowym tańczona jest wolno — druga w takcie parzystym — szybko. Ciekawe przyspiewki nadają temu tańcowi wiele uroku i wdzięku.

Osobną grupę bogatych tańców ludowych posiada nasze Podhale i Tatry. Są to tańce góralskie spokrewnione z tańcami plemion góralskich od Pirenejów aż po Kaukaz, stanowiąc dobrze zachowane zabytki dawnej kultury pasterskiej.

Na zakończenie musimy wspomnieć o osobnej grupie tańców, składających się z tańcami zrytmizowanych elementów ruchowych, dostrzeganych w pracy fizycznej, jak na przykład taniec jesiór — flisacka imitacja ciągnięcia tratwy, „ogrodnik”, „kował” oraz tańce rzemieślników zwany szewc, znany w różnych odmianach w wielu ziemiach polskich.

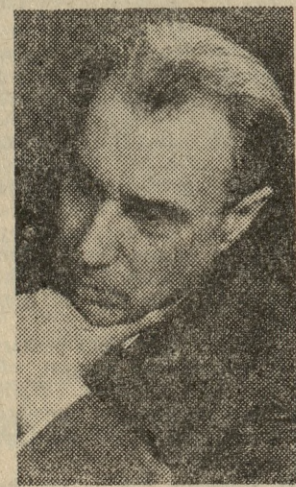
Na terenie Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej mamy wiele tańców rdzennie polskich, występujących na innych terenach, jak na przykład oberek, kujawiak, okrągły, chodzony, równy, wolny itp. Mamy tu też tańce napływowe, a wśród nich walcerek (pośrodku tańca między walcem a kujawiakiem), ländler, sztajer i różne rodzaje polek. Najbardziej charakterystycznym dla Wielkopolski jest jednak wiat oraz przodek, nader ciekawy w regionie szamotulskim. Główną rolę w czasie tego tańca odgrywa

partnerka, obtańcowując różnymi krokami tancerza i obracając się wokół własnej osi, powiewając przy tym chusteczką. W przodku szamotulskim mamy też figury zbiorowe, jak na przykład figura identyczna z krzyżkiem, stosowana w mazurze i figurowym walcu towarzyskim.

TEODOR SMIELOWSKI

Ze wspomnień

„operowego bywalca” (1)



Karol Urbanowicz

Śpiewacze początki w c.-k. Galicji

Właściwie wszystko zaczęło się już bardzo dawno i sięga czasów gimnazjalnych w Samborzu. W owym niezapomnianym dniu młodoci, która zresztą nie była ani tak „sielska”, ani „anielska”, pewien niezbyt pilny uczeń wyśpiewywał żarliwie w tamtejszym chórze gimnazjalnym, najpierw czystym sopranem, a potem — tuż, tuż przed maturą — wcale donośnym basem. Wydawało mi się wtedy, że ten śpiewa najlepiej, kto drze się najgłośniej. Tego samego zdania byli też samborscy znawcy sztuki. Wrzeszczałem więc przy każdej okazji i wszyscy byli zadowoleni.

Niedoszły adwokat

Później przyszedł studencki lata we Lwowie. Wgrzyłem się w suchą naukę prawa, chciałem zostać adwokatem i prowadzić spokojny tryb życia w c.-k. austro-węgierskiej monarchii, której dni były już policzone.

Nas jednak, studentów prawa, nie zajmowały te sprawy; interesowało nas głównie pytanie, w jakim dziś humorze jest srogi profesor Makarewicz, specjalista od karnego; biec boży na wszystkich mniej lub więcej opieszalszych studentów. Jakoż do scysji z tym zajęcym, choć srogim pedagogiem dość musiało. Wskutek wyrażnej różnicy w poglądach na tryb życia studenckiego i wynikłej stąd burzliwej dyskusji, w czasie której ja przeważnie nie milczałem, a profesor grzmiał jak Jowisz — musiałem się przenieść bez żalu do Krakowa. Tam i profesorowie nie byli tacy srodzy i chór akademicki był wspaniały. Naturalnie, że zaraz się do niego zapisałem.

Lubiłem śpiewać! W studenckim zespole śpiewałem w czasie pamiętnych uroczystości, które odbyły się w 1910 roku w Krakowie z okazji Złotu Grunwaldzkiego. A potem tak się już jakoś stało, że śpiew zaczął pociągać mnie coraz więcej. Poświęcałem mu też coraz więcej czasu i uwagi. Nigdy jednak nie przeszło mi przez myśl, że zostanę śpiewakiem operowym, reżyserem — i że życie całe poświęcę teatrowi.

Gdy dziś patrzę wstecz, nie żałuję wyboru. Gdybym jeszcze raz miał zacząć życie, bez wahanja poświęciłbym je także teatrowi.

Kompozytor — postrach uczniów

Nadal studiowałem prawo w Krakowie, bo przecież tak wypadało, lecz cały wolny czas przepędzałem w krakowskim konserwatorium, jako stypendysta Władysława Zelenieckiego. Był on wówczas dyrektorem tej muzycznej uczelni. Sam uczył fortepianu, interesował się wokalistyką i był postrachem wszystkich uczniów.

Władysław Zeleniecki, ojciec znakomitego Boya, coż to była za renesansowa, żywa, charakterystyczna postać. Już wtedy miał poza sobą „Konrada Wallenroda”, „Starą

Baśń” i „Goplanę”, a jednak sukcesy nie uderzyły mu nigdy do głowy. Bardzo wymagający, bardzo serdeczny i po ludzku podchodził do uczniów, którzy go też uwielbiali bezapelacyjnie. Niech o tym zaświadczy obecny dyrektor Opery poznańskiej Zdzisław Górczyński, z którym w tych pięknych, krakowskich czasach ko legowałem.

Jeśli uczeń wykazywał się talentem i pracowitością, mistrz Zeleniecki uśmiechał się słodko i wszystko było w porządku. Jeśli jednak, nie daj Boże, coś sknocił — dyrektor wpadał w iscie szewska pasję. Zawsze trochę sepleniał, w chwilach jednak irytacji świszczał jak parowóz. Przerzywał wystraszone mu śpiewakowi w pół taktu i ryczał:

— Garnki sorować! garnki sorować, psestań, psestań!

Było w zwyczaju, że Opera lwowska corocznie dawała w Krakowie swe gościnne występy. Pełnym powodzeniem cieszył się wtedy „Konrad Wallenrod”, zwłaszcza że partię Halbana śpiewał znakomity Adam Didur. Zainteresowanie spektaklem było olbrzymie, a wszystkie bilety wykupiono już naprzód. Wielkiemu Didurowi nie chciało się przychodzić na próby, na których zastępował go młody wówczas śpiewak Stanisław Tarnawski. Po jednej z prób, na którą przypadkowo zabłądził sam kompozytor i dyrektor konserwatorium w jednej osobie, Władysław Zeleniecki, zbliżył się do Tarnawskiego i serdecznie gratulował mu piękne go głosu.

„Bardzo ładnie pan śpiewał, bardzo ładnie” — powtarzał Zeleniecki z ukontentowaniem.

„Cóż z tego — odpowiedział Tarnawski. — Śpiewam tylko na próbach, oklaski zaś zbierze Didur, bo na spektaklu on będzie Halbaniem.

„Wie pan — przerwał rozpromieniony Zeleniecki — a to lepiej, a to lepiej.”

I odszedł sobie spokojnym krokiem; biedny Tarnawski za mienił się w słup soli.

Nieudany popis

Na dorocznym popisie konserwatorium krakowskiego zawsze wykonywano jakiś utwór Zelenieckiego. Nie tylko dlatego, że tak wypadało. Twórczość Zelenieckiego była naprawdę cenna i dużo nowych pierwiastków wniosła do muzyki polskiej. Pod czujnym okiem profesora Aleksandra Bandrowskiego przygotowałem swój kwartet z „Konrada Wallenroda”. Był to ten sam Bandrowski, który tak wielką karierę śpiewacza zrobił potem w Niemczech. Był pierwszym tenorem w arcybogatej i pięknej operze we Frankfurcie nad Menem. Bogate miasto mogło sobie pozwolić na wspaniały teatr. O wielkiej popularności i sławie Aleksandra Bandrowskiego świadczy wspaniały dar jaki otrzymał od ówczesnego cesarza Wilhelma. Dumny Pru

(Ciąg dalszy na str. 2)

Z Błonia do Poznania asfaltem jest około 20 km. Edward Kalkowski, przystojny dwudziestokilkuletni mężczyzna, pochłania tę odległość na motocyklu marki BMW 500, w kwadrans. Dziś jednak jedzie wolniej, rozmyśla nad „perspektywami”. Za nim w przyswoitej odległości wlecie się wózek z czeresniami i kiszonymi ogórkami, zaprzężony w dwa koniki, pożyczony od Drożdża. Lejcuje Wacek, dorozkarcz na emeryturze. Teraz pewno sobie śpi, dotykając wypłowiałym wąsem kossuli, która świetnie pasuje do jego chudego ciała, jako że też emerytka.

Horyzont jest lekko poszarpany, przyćmiony dymem, wiszącym nad miastem. Wiele kościołów wygląda stąd jak koniuszki igiel, a okrągłak jak łepiek od szpilki.

W Gądkach Edzio naciska hamulec, przejazd zamknięty. Przetacza się ciężko pociąg osobowy ze Stalinogrodu.

Wyjechał z Błonia raniutko, na Rynek Wilecki lepiej być wcześniej, czasami zdarza się, że baby z ciuchami zajmują jego miejsce i potem musi się wykłócać o każdy metr kwadratowy. Baby są pyskate, a on użerać się nie umie i nie lubi. On jest grzeczny, elegancki, jak prawdziwy człowiek interesu. Na zapytanie: „Jak ci się, Edziu, powodzi?” — odpowiada niezmiennie: „Idzie”. Znaczą — byznes, jak mówią Amerykanie. Zalażył sobie w Błonie telefon, kupił nowe buty z cholewami i tapczan w Centrali Drzewnej. No, i rozwód też przecież kosztował. I jeszcze za wpis z niego zdarli, chociaż pokazywał kilka zaświadczeń i ubrał się w najgorsze portki.

Szlaban idzie w górę. Droga śliska, spryskana nocnym deszczem, trzeba zachować ostrożność. Ładnymi, niebieskimi oczami wpatruje się uważnie w szosę, na której pojawia się co raz więcej pojazdów, ludzi pieszych. Mija go błękitny PKS zatłoczony robotnikami, urzędnikami udającymi się do pracy. On jedzie do pracy na motocyklu.

Widać już towarowe wagony na francuskim dworcu. Za nimi czerwieni się dachówka na domkach Staroleki, wyglądających spoza drzew.

Psiakość, gdyby nie ten Kujawski... Drobną postać w caju i niesmiertelnej granatowej kossuli nie schodzi mu sprzed oczu. Dobiera się Edzio do skóry ten filozof. Raz nawet odważył się nazwać go bumelantem, że niby on, Edward Kalkowski, wniósł dwa hektary ziemi do Spółdzielni Produkcyjnej im. II Zjazdu Partii (te słowa Kujawski wymawiał ze szczególnym przejęciem), ale, o zgrozo, nie nie robi. Miglanc, psiakrew. „Podpisałeś przecież deklarację”, wykrzykiwały się drobne usta Kujawskiego, „powinniśmy przodować, a ty nas kompromitujesz...” oczy nabiegały krwią. „Skrólić!” Edzio, śmiał się z niego w duchu i szedł na wsiadki do Drożdża.

Ten Kujawski, to jeszcze pół biedy, ale Marciniak! Edzio nie mógł go znieść. Chował się przed nim po sieniach, raz nawet za drzwiami w Prezydium GRN, ale i tak ten Marciniak zawsze przed oczyma mu wiał, „Kalkowski, wy nie na polu”, dźwił się, „chorzyscie pewno, a może urlop?” pytał się Edzia z troską w oczach. „A może urlop bezpłatny?” śmiał się krzywo. Pewnego razu, gdy Kalkowski szedł rynkiem do Drożdża pertraktować w sprawie czeresni, których kilka „alej” zamierzał wydzierżawić od spłajowanego Łulaka, znowu zza węgla wyskoczył Marciniak. Mrużył oczy od słońca, dłonią sobie przysłaniał, ale Kalkowskiego zauważył. „Żniwa w pełni, a wy tutaj?”, przywitał go. „Odczep się!” wybuchnął Kalkowski zły i nagadał mu głupstw, zagroził, że jak Marciniak będzie się do jego spraw osobistych wtracał, to on zrobi użytek z tego, co wie o Marciniaku. A wie bardzo dużo, ho, ho... Wsadzi go do więzienia, niech więc we własnym interesie Marciniak lepiej milczy. I zostawił go przybladłego, wzburzonego na środku rynku.

Za chwilę Edzio wylądował w Drożdżowych ramionach przy kwatrze wsiadki. Formalnie, papierkowo rzecz biorąc, to on pracę w wspólnym był zupełnie spokojny. Znalazli

się chętni, którzy za niego wychodzą do roboty i jeszcze w rękę za 40-złotową dziówkę całują. Ot, na przykład taki Dukara, stary pijaczka z fioletowym nosem i trzęsącymi rękami. Albo Bączkowska z tym swoim mamianiem aaaaaa — bo giuchoniema. Któż jej pomoże, jak nie on, dobroczyńca Kalkowski.

Franowski dworzec zostaje w tyle. Lokomotywy gwiżdżą, wagony popychają się, tłuką o siebie buforami.

Największą zaletą człowieka, rozmyśla, jest jego przedsiębiorczość, energia twórcza. W wypadku Edzia zdolność ta streszcza się w dążności do zaspokojenia stale rosnących jego potrzeb. Teraz kolej na kiszarnię ogórków.

Życie jest piękne, słoneczko przygrzewa sobie nieźle, po niebie płyną chmurki jak gęsi. Mleczko w rowie obsypane pu-

nym grzebieniem, wychodził z ręki do pracy w spółdzielni, kiedy chłopci już wracali ze wspólnego. „Dajcież mi coś do roboty!”... mawiał. Wówczas wyskakiwali ci dwaj krytykan-ci Marciniak i Kujawski i dalej „błyskawicami” straszyć. A on spoglądał i ze stoickim spokojem mówił: „Jak nie ma, to nie ma” i szedł na piwsko z kropelkami do Czyżyka.

Ale oto już Poznań. Koszka głodziuchna. Jedzie kawałek ul. Dzierżyńskiego, skręca na prawo i meta. Rynek Wilecki. Wacek pewno w Krzesinach, niech sobie śpi, byleby nie wpadł po drodze do rowu.

Dopiero szósta rano. Nim za-jedzie będzie akurat siódma, akurat pierwsze paniusie nadejdą. I Boże ty mój, zacznie się targ. Wacek będzie sprzedawał, wazył, inkasował, a Edzio sobie usiadł w barze „Przystanek” przy oknie i cza-

czyk. Nałożywszy okulary siada za stoikiem przydzielonym. Porządek obrad zawiera kilka punktów, sprawy gospodarcze, jeszcze tam coś i wolne wnioski. Wszystkie punkty przechodzą gładko aż Edzia ogarnia zdziwienie i smutek, że o jego kiszarni zapomniano. No, trudno, a może we wolnych wnioskach.

Jachimczyk mówi: — Kto chciałby się zapisać do głosu?

Chłopi rozglądają się. Kujawski podnosi rękę. Edzio wstaje i szykuje się do wyjścia. Ktoś jednak woła:

— Kalkowski, jeszcze minutka, zostańcie!

Więc zostaje i zapala papierosa.

Kujawski, prawie go nie widać, bo to przecież wątle, małutkie jak pchełka — rozpoczyna cicho, szcąc:

— Powiem wam, moi drodzy, coś bardzo ważnego. Chcecie — podnosi głos — zobaczyć — mó-wi wolno, przeciągając — po-kazać wam...

Edzio puszcza nosem silny dymek.

— ...spekulanta... — kontynuuje Kujawski.

Edzio przymruża oko. Oj, czyżby on w Jachimczyka go-dził. A może w niego. Kalkow-skiego? Kluje go dreszcz nie-pokoju:

— Chcecie przypatrzeć się rozbijawcy naszej spółdzielni — rozpoczyna litanię naj-rozmaitszych grzeszków ludz-kich. Wylicza ostentacyjnie na palcach, których mu brakuje.

— Zdejmuj buty! — woła ktoś.

— Nie żartować!

— Oto macie go — zniża te-ras głos do syku i palcem wy-celowuje w Edzia.

Sala zamiera z wrażenia, Jachimczykowi okulary spadają z nosa. Jakaś babina zęga się „W imię ojca, ducha...”

— Brawo Kujawski! — krzyczy Marciniak. Robi się wrzawa.

— To nie prawda, niech się Kalkowski tłumaczy. — Ma-tuszek przychodzi w sukurs Edziowi.

— Stawiam wniosek o wy-kłuczenie Kalkowskiego ze spół-dzielni — mówi spokojnie Ku-jawski. Siada.

Wstaje teraz Edzio trochę błąd, oboma rękami łapie się za ławkę. Tłumaczy gładko, pięknie, że na prawdę nie z tego nie rozumie, że jest czło-wiekiem, a przez to popełnia przecież jak każdy człowiek o-myłki. Że gotów jest złożyć sa-mokrytykę.

— Składaj — ktoś woła.

— To wroga robota, potwarz. — Edzio unosi się coraz bar-dziej — wystąpię na drogę są-dową...

— Wystąp, prosimy bardzo — odzywają się głosy.

Jachimczyk przed zarządze-niem głosowania zaleca ostro-żność w wydawaniu pochopnych sądów, bo chodzi o człowieka.

— My takiego nie potrzebu-jemy — replikuje Kujawski — niech sobie będzie człowiekiem poza spółdzielnią!

— Tylko Jachimczyk i Ma-tuszek wstrzymali się od głosu. Nie licząc oczywiście Edzia...

Śpiewacze początki

(Dokończenie ze str. 1)

sak złożył polskiemu śpiewakowi w darze srebrną zbroję do roli Lohengrina.

Ale wróćmy do wspomnień...

Partię tenorową śpiewał świetny Ignacy Man, barytonową Adam Ludwig, ojciec Basi Ludwiżanki, basową — ja, sopranową jakieś słodkie dziewczę. Sala pełna, komplet. Akompaniując Wanda Hendrichówna, świetny poza tym sopran liryczno-dramatyczny.

Mistrzowi Zeleniowskiemu nie przypadł do smaku sopran uczennicy. Zapominając więc, że jest to uroczysty popis, że sala jest pełna publiczności, Zeleniowski z trudem wdrapał się na estradę, machnął zniecierpliwioną ręką i krzyknął na głos:

„Psesta! Psesta! Wanda będzieś śpiewać! Wanda będzieś śpiewać!”



rys. L. Kapczyński

chem, zboże wysokie, że i Kalkowski w nim się schowa, gdzie niedziedzie czerwony kapturek maku. Tylko, żeby te czeresnie nie obłutły się, ale Wacek jedzie przecież ostrożnie, jeżeli nie śpi, hunewot.

Zadowolony naciska klakson, który buczy wesoło i niefrasobliwie.

Jutro z obojętną miną zaproponuje przewodniczącemu spółdzielni, żeby szanowny zarząd namyślił się, uzgodni kolektywnie (a jakże!) ze spółdzielcami i przystąpi na budowę spółdzielczej kiszarni. Jeżeli chodzi o kierownika, to można by wziąć pod uwagę Kalkowskiego, jako wytrawnego fachowca od ogórków. Dla lepszego zrozumienia i obgadania sprawy wpadną z przewodniczącym do Czyżyka na piwsko z kropelkami.

Na kocich łbach Staroleki strzela mu do głowy nowy, wspaniały pomysł. No, ale ma dziś elastyczny umysł, geniuszem go jeszcze obwołują jak Einsteina. W Błonie powstał niedawno zespół uprawowy założony przez małorolnych. Kalkowski użyje swych wpływów, a więc tu postawi wodkę, gdzie indziej weźmie na „wydziewek”, żeby go przyjęli na członka tego zespołu... ale psstst, fikiyego. To jest dobra, wypróbowana metoda. W zespole powie tym małorolnym, że nie ma czasu, bo przecież praca w spółdzielni ważniejsza i na odwrót Kujawskiemu, Marciniakowi i innym krytykantom, że on, Kalkowski, pracuje z pełną współodpowiedzialnością i świadomością etc. etc. w zespole uprawowym wśród małorolnych, przygotowuje ich ideologicznie (hm, hm) do późniejszego wstąpienia do spółdzielni. Dobra!

Zadowolony dodaje gazu. Drzewa, ludzie, przechodzący obok śmigają po obu stronach ulicy. Pies ucieka z podkulonym ogonem.

Ale w pojedynkę przecież trudno coś zdziałać, wspólnie — przedej. Wylaża więc z pamięci kumple, naprzód Jachimczyk, chude chłopisko niby tykwa od chmielu. Trochę ślepe i z tego tytułu używające okularów. Na głowie lysiina jak kolano. Ale dusza — nie człowiek. On się też urządził z tym wychodzeniem na wspólne. Za niego robi wujek, przyjechał jeszcze przed wojną z Francji i teraz haruje dla Jachimczyka, który bądź co bądź wniósł do spółdzielni te 17 ha.

Wujcio znosi wszystko bez szemrania, bo prócz opadających portek i zgrabiających rak nie na własność nie posiada. Drugim z tej paczki jest spółdzielca Matuszak, który na boczku obrabia 7 hektarów gruntów maczynych. Przeżywa go bigamistą, bo jedną żonę ma prawną — spółdzielnię, a kochanką jest tych 7 ha. Wysoki, smagły na gębę, z czerwonym nosem i wypadającymi włosami, które zwykł zbierać na wyszczerbio-

Witolda Jakóbczyka. Wiele przykładów z wielu gromad naszego województwa: z Brodnicy (pow. śremski), Oporowa, Oporówka, Rąbczyna, Chojna, Gołuchowa itd. Przy tej okazji porównać możemy dwie reformy rolne. Pierwszą przed przeszło stu laty przeprowadzała dla swego dobra szlachta, drugą — przed 10 laty — lud.

Jeszcze świeżym drukiem pachnie praca Zbigniewa Raszewskiego „Z tradycji teatralnych Pomorza, Wielkopolski i Śląska”. To książka dla miłośników życia teatralnego. Dowiadujemy się w niej o wielu teatrach Poznania w XIX w., po których nie ma dziś śladu. Ale — po zapowiedzi wstępnej — spodziewaliśmy się chociaż krótkiego omówienia teatru amatorskiego naszego terenu. Tytuł przecież obowiązuje. Tymczasem autor skwitował go... mapką. To za mało.

A może kogo zainteresuje wydanie popularno-naukowe „Leki i gusła dawnej wsi” — Zbigniewa Kuchowicza. Czyta się jednym tchem. Obrazki przy tym urozmaicały strony. Zaglądnijmy na przykład na stronę 90.

„Urodzone niemowlę kapano w niecie; po kapeli należało pociągnąć za noskę, by kichnęło. Wierzono bowiem, iż fakt ten zapewni mu zdrowie. Przy pociąganiu noska wskazane jednak było cmoknąć trzy razy ustami. Wody z pierwszeń kapeli nie wylewano przez trzy dni...”

A są tu przepisy sprzed 200 i 350 laty na przepuklinę, świerzb, wrzody, suchoty, syfils — niezmiennie ciekawe, bo oprócz zabobonu i gusła znajdziemy i te, które mają swoje znaczenie i w dzisiejszej medycynie. Trzeba pamiętać, że lud wiejski odgrodzony od wszelkiego postępu medycyny, uprawiał, przekazywał i wzbogacał popartą wielowiekowymi obserwacjami własną wiedzę lekarską. Lud, którego przeciętny wiek np. w powiecie radomskim wynosił 27 lat, w obrocie życia rozpaczliwie chwycił się wszelkich środków, by ratować się przed śmiercią. Znajdźmy tu wiele przykładów z naszego terenu.

Dla miłośników pieśni i poezji zdejmę z półki księgarni coś innego. Dwie antologie pieśni ludowej „Pieśń chłopów polskich” Stanisława Czernika i „Jabloneczko” — Juliana Przybosa. Czy są w nich pieśni naszego województwa? A są. I od Sompolna z pow. kolskiego, i od Gniezna, i od Poznania (Głuszyn, Sławów), od Kalisza, Gołuchy, Siemakowa. Tętni w nich piękno, przeplatane nicią smutku i buntu przeciwko ciemnościom dawnej wsi. Wiesz przecież musiała sobie czymś „okrasić”. Z tego ludowego źródła czerpał temat i formę najwybitniejszy pieśń-cy! Trzeba skłonić głowę przed niejednym wiejskim „majstersztykiem”.

Książki, wymienione i niewymienione tu z braku miejsca, są dostępne dla każdej kieszeni. Powieść najczęściej po przeczytaniu odkładamy, do dzieła historyczno-społecznego chętnie wiele razy wracamy.

Do tych „lekarstw” na nudę zapraszam tych wszystkich, którzy chcieliby wolny, wieczorny czas pożytecznie spędzić. P.



W związku z urodzinami królowej angielskiej Elżbiety, pospisał się grad awansów, orderów i odznaczeń. Między innymi, jedno z najwyższych wyróżnień, bo „order podwiazki” otrzymał 81-letni hrabia Iveagh. Piastuje on funkcję prezesa kartelu browarniczego, operującego kapitałem 12 milionów funtów angielskich.

Dr Wolman, wpisując się do nowojorskiego klubu „starych kawalerów”, uzasadnił swą prośbę o przyjęcie w spóśb następująco: „Będąc specjalistą w zakresie kuracji odtłuszczającej, mam zaszczyt przyjmować co miesiąc około 200 pacjentek. Każda z nich traci na skutek mych zabiegów przeciętnie 8 kg na wadze, czyli w sumie 1600 kg miesięcznie. W ciągu jednego roku cyfra ta urasta do 19200 kg. Ponieważ praktykę swoją wykonuję już od lat sześciu, więc pozabawiłem świat męski ogółem 115200 kg... zbytniego ciężaru.”

Lata i ludzie

(Dokończenie ze str. 1)

zdrowić załogę w imieniu partii.

W wtelnik pięciu zahuczał ogień. Rozbrzmiała orkiestra, tysiące głosów podchwyciło me lodzie „Międzynarodówki”. Rok sownia dała pierwszą produkcję. I wreszcie nastąpiła chwila pierwszego spustu z wielkiego pieca. Kawałek metalu, pochodzącego z pierwszego wytopu w Kunczycach, rozleższy się po całym kraju — młodzi budowniczości wysyłali je przyjaciółom, krewnym, znajomym — jako najdroższy podarunek.

Wkrótce Kunczyce dały pierwszą stal. Budowa zaczęła żyć pełnią nowego życia. Dziś już trzy baterie koksoownic dają koks; niedawno rozpoczęto budowę czwartej baterii. Dwa wyniosłe wielkie piece dają co dzień tyle metalu, ile potrzeba do wyprodukowania dwóch tysięcy traktorów. Cztery martyni w ogromnej stalowni wytapiają więcej stali niż przed wojenną Czechosłowacją produkowały trzy huty razem wzięte.

...A za Kunczycami, wśród świeżej, wiosennej zieleni kwitną wszystkich barwami tęczy kwiaty. Rozkwitają one na kłombach wokół domów, w których mieszkają hutnicy. Wzdłuż drogi kwitnie bez. Tak samo — jak dawniej. A może jeszcze piękniej?...

Nad hutą, nad budową piękną białe obłoki. Słońce wspólzawodniczy z czerwono-złotą luną nad wielkimi piecami. W dzień zwycięża słońce. A nocą w dal i w górę rozciąga się morze ognia. Kipi tu życie i ludzie tworzą wciąż nowe cuda.

Spisał: S. KROKOWSKI

MILA POUPALOWA

W rzekach Kambodży spotkać można rybę, nazywaną powszechnie strzelcem. Ryba owa widzi tak samo dobrze w wodzie jak nad jej powierzchnią. Przez cały dzień przebywa ona w nadbrzeżnych płyciznach i czatuje na zdobycz. Wystarczy, aby jakiś mały owad usiadł na roślinie sterującej nad wodą, a już ryba-strzelec podpływa, wysuwając swój pyszczek ponad powierzchnię, chwilę celuje i wypływa kilka kropel wody, strącając w ten sposób z łodygi swą ofiarę. Ryba owa potrafi wyrzucać celnie swe wodne pociski na odległość do półtora metra, przy czym jej rekordowe strzały osiągają odległość czterech metrów. Jeżeli zważymy, że ryba mierzy tylko od 10 do 12 cm długości, wówczas trzeba przyznać, że jej sprawność strzelecka jest wręcz imponująca. Ryba-strzelec przyzwyczaja się bardzo szybko do warunków akwaryjnych. Jest ona ruchliwym i wesołym stworzeniem. Niejednokrotnie strzela ona do oczu człowieka, który niebacznie pochylił się nad akwariem. Zdarzyło się nawet kiedyś, że oddany przez nią strzał zgasił palącego się papierosa.

KTO JE SPOŻYWAŁ?

Podczas wędrówek po lasach każdy z nas z zainteresowaniem podnosi często z ziemi szyszki jodłowe i zastanawia się, które ze zwierząt objadło je w tak przedziwny sposób. Zagadka w istocie dość trudna, a jednak przyrodniczy ją rozwiązał. Popatrzmy na rysunek i porównując kształt poszczególnych szyszek (od lewej do prawej strony!) dowiemy się kto przy nich gospodarował.

Dwie pierwsze od strony lewej były smaczny obiekt dla ostrych zębów wiewiórki. Trzecią wyjadły i strąciły ptaki krzyżodzioby, chociaż na początku ją już uprzednio wiewiórka.



wiórka. Do czwartej przyłożyły swe ostre ząbki myszy polne i leśne. Piątą natomiast została wyluskana z nasion przez dzięcioła.

„SZKLANA” ŻABA...

W roku ubiegłym przyrodniczy dokonali w meksykańskim stanie Chiapas ciekawego odkrycia. Mianowicie na drzewach znaleźli małą żabkę, niespotykaną do tej pory w żadnym atlasie zoologicznym. Jej długość wynosi tylko 20 mm. Gdy żabka siedzi na liście, wówczas trudno ją w ogóle zauważyć. Przypomina ona dosłownie do powierzchni liscia, a ponieważ skóra na jej brzuszku jest przezroczysta, więc widać przez nią dokładnie wszystkie organa wewnętrzne. Stąd nadano tej żabce nazwę „szklana”. Przez cały dzień siedzi przysana swymi łapkami do liscia i dopiero, gdy w puszczy nastąpi mrok, budzi się ona do życia, rozwiera swe czarne, wypukłe oczy i rozpoczyna łowy na wszelkie owady i cmy.

TAJEMNICZE GŁĘBIE

Dalsze techniczne udoskonalenia dokonane w specjalnych sieciach głębinowych, pozwoliły uczonym na sondowanie toni morskich do 10 tys. metrów. Wyciągają oni w ten sposób na powierzchnię rozmaite nieznanne do tej pory zwierzęta morskie. Ostatnio ekspedycje naukowców radzieckich dokonały sondowania głębin na wysokości Wysp Kurylekich i Kamczatki, a sieci zapuszczono włąb do 10 337 metrów. Na głębokości 9800 metrów znaleziono anemony morskie i rozmaite gatunki mięczaków, a nieco bliżej powierzchni raczki morskie, organizmy koralowe i rozmaite inne o dziwnych kształtach zwierzątka.

MAR

Dlaczego odbiór radiowy nie zawsze jest jednakowy?

Inż. Adam Towpik

Przy rozpatrywaniu fal elektromagnetycznych wypromieniowanych przez antenę rzuca się od razu w oczy możliwość podziału w zależności od kąta pod jakim zostają skierowane w przestrzeń. Możemy je podzielić na fale przyziemne i przestrzenne.

Fale przyziemne są falami rozchodzącymi się wzdłuż powierzchni ziemi. Siła tych fal znacznie maleje wraz z rosnącą odległością od promienia anteny. Znaczny tu wpływ na natężenie fali wywiera powierzchnia ziemi,

cząstki zostaje wytrącony elektron lub kilka elektronów, to powstaje jon dodatni, gdy natomiast do cząstki obojętnej dołączymy się elektron, to otrzymujemy jon ujemny. Zjonizowane powietrze jest półprzewodnikiem i ma właściwości pochłaniania, załamania i odbijania fal elektromagnetycznych.

Zawartość jonów w powietrzu można określić licząc ich przypada na cm³ powietrza. W nor-

Heavy-side'owi i właśnie te warstwy nazywano ich nazwiskami. Obecnie przeprowadzono dokładniejszy podział jonosfery.

Na wysokości 50 km od powierzchni ziemi istnieje warstwa D (istnieje ona tylko w dzień). Wysokość jej waha się od 25 do 80 km. Warstwa E (lub zwana też warstwą Kennellego i Heaviside'a) znajduje się na zmiennej wysokości między 80 km a 140 km nad ziemią. Warstwa ta ma dwie właściwości odbijające w dzień.

Na wysokości 140 km ponad ziemią do 400 km rozciąga się warstwa F. Odbijający ośrodek w tym obszarze nazywa się warstwą Appletona o średniej wysokości 270 km. Można jeszcze warstwę F podzielić bardziej dokładnie na warstwy: F1 i F2. Warstwa F1 istnieje tylko w dzień i osiąga wysokość około 200 km. W nocy ta warstwa wywydatnia się bardzo słabo.

Warstwa F2, zajmująca obszar między 300—400 km ponad ziemią, istnieje w ciągu całej doby. W lecie znajduje się między 300 a 400 km, w zimie obniża się do wysokości warstwy F1.

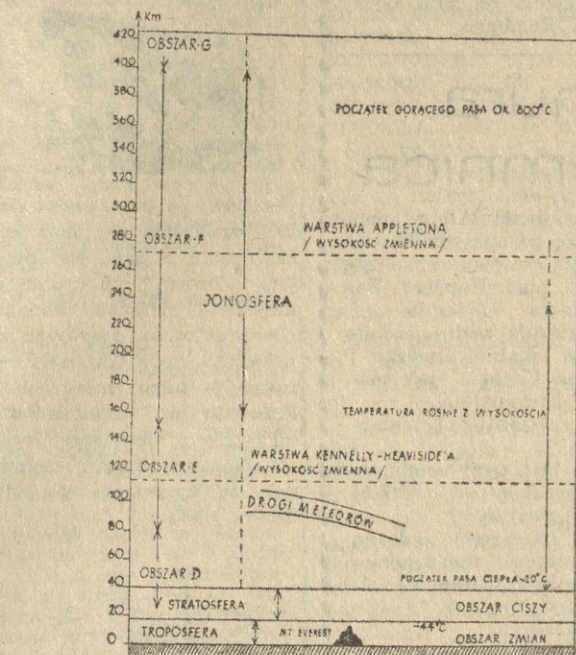
Powyżej 400 km rozciąga się obszar, zwany obszarem G. Górna granica jonosfery jest trudna do ustalenia. Jak z powyższego widać, wysokość warstw jonosfery ulega dość poważnym wahaniom. Oprócz tego ulega wahaniom gęstość i przewodność jonosfery. Wszystkie te zmiany są uzależnione od wielu czynników. Wielki wpływ wywiera tu pora roku, doby, a również co 11 lat powtarzające się nasilenie plam słonecznych. Słone promieniowanie słoneczne (długość dnia — południe) powoduje, że coraz większe masy atmosferyczne jonizują się. Warstwa zjonizowana staje się coraz grubsza i coraz niżej znajduje się nad ziemią.

Wieczorem, gdy działanie promieni słonecznych maleje, warstwa po warstwie odbijająca dejonizuje się, osiągając coraz wyższe pozycje nad ziemią. W zmie występuje mniejsza intensywność nasłaniania i znacznie szybsza dejonizacja. Jak widać więc, działanie warstw zjonizowanych podobne jest do działania reflektora, zawieszonych nad ziemią, o zmiennej wysokości w zależności od pory roku i doby.

Teraz jest już widoczne, dlaczego wieczorem zwiększa się ilość odbieranych radiostacji i dlaczego zimą jest lepszy odbiór niż w lecie.

Fale, powyżej 3.000 m. rozchodzą się głównie w postaci fal przyziemnych i zmienia położenia warstw jonosfery nie ma tu dużego wpływu. Dlatego też między odbiorem stacji, pracujących na falach długich w dzień czy wieczorem lub też w lecie czy zimą, nie ma tak znacznych różnic, jak przy odbiorze stacji krótkofalowych i średniokfalowych, które pracują głównie jako fale odbite od warstw jonosfery, a nie jako fale przyziemne.

(„Dziennik Zachodni“)



ponad którą rozchodzi się fala (jej skład chemiczny, wilgotność, ukształtowanie terenu itp.) oraz częstotliwość fali. Częstotliwość jest związana z długością fali prostą zależnością. Zazwyczaj na skalach odbiorników są podawane długości fal w metrach a nie częstotliwości, na których pracują stacje radiowe, co zresztą nie ma dla radioluchaczy żadnego specjalnego znaczenia.

Przy falach dłuższych (mniejszej częstotliwości) i przy dużych przewodnościach ziemi wzrasta znacznie natężenie sygnałów wypromieniowanych przez antenę nawet na dużych odległościach (tzn., że zasięg fali przyziemnej wzrasta).

Ponieważ przewodność wody morskiej jest większa w porównaniu z przewodnością lądu stałego, dlatego zasięg radiostacji na morzu jest znacznie większy (chodzi o fale przyziemne).

Fale przyziemne są silnie pochłaniane przez przedmioty terenne, a szczególnie przez konstrukcje żelazne, żelazobetonowe, mokre polacie ziemi, roślinność.

Jednak fale przyziemne nie są jednakowo pochłaniane. Jeżeli chodzi o ich długość. Najbardziej odporne na te wpływy są fale długie, które jako fale przyziemne mają znaczny zasięg w porównaniu z falami krótkimi — przyziemnymi.

Ponadto przy falach długich, rozchodzących się jako przyziemne, powstaje zjawisko uginania się. Czoło fali: ulega pochyleniu się ku powierzchni ziemi, co stwarza możliwość poruszania się fal nad ziemią zgodnie z jej krzywizną. Na falach krótkich pochylenie czoła fali jest zbyt duże, co powoduje szybkie ich zanikanie. Wraz ze wzrostem długości fali wzrasta również i możliwość oplatania przeszkód terenowych.

Fale przyziemne w małym stopniu zależą od pory dnia i roku. Dawniej mniemano, że do łączności dalekosiężnej nadają się tylko fale długie. Fale poniżej 200 m. jako bezużyteczne, przydzielono radioamatorom dla coraz bardziej rozwijającego się ruchu krótkofalowego. Ruch krótkofalowców obalili jednak te teorie, gdyż właśnie krótkofalowcom udało się przy użyciu nadajników o mocy bardzo małej, bo zaledwie kilku watów nawiązać łączność np. Europy z Nową Zelandią. Okazało się, że rozchodzenie się fal krótkich na tak znaczne odległości odbywa się dzięki odbiciom od jonosfery.

Jonosfera odgrywa rolę reflektora, kierującego fale z powrotem na ziemię. Pod wpływem promieni słonecznych i kosmicznych powietrze ulega zjonizowaniu. Warto tu przypomnieć, że jon jest atomem lub grupą atomów (cząstką), posiadających pewien ładunek elektryczny na skutek nadmiaru lub niedoboru elektronów. Nadmiar lub niedobór wywołuje właśnie swoim działaniem promienie kosmiczne i słoneczne wytrącające elektrony.

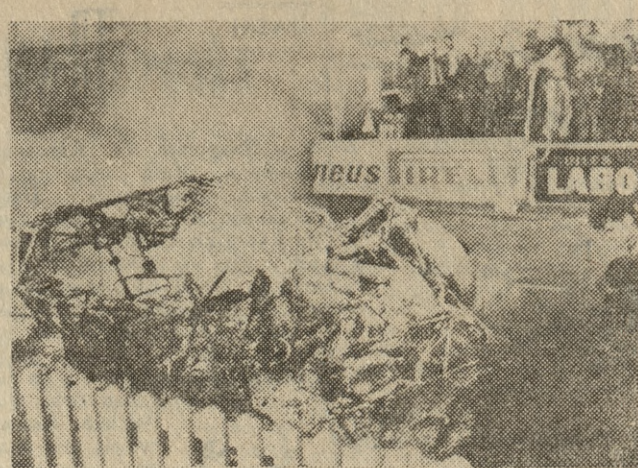
W normalnej cząsteczce materii istnieje równowaga elektryczna na skutek jednakowej ilości elektryczności dodatniej i ujemnej (elektronów). Jon powstaje wtedy, gdy równowaga ta zostaje zakłócona (w naszym wypadku przez działanie promieni słonecznych i kosmicznych). Jeżeli z

malnym powietrzu jest około 1000 jonów w 1 cm³ powietrza. Wypada wtedy na 30 milionów miliardów cząstek powietrza jeden jon. Przy silnej jonizacji ilość jonów znacznie wzrasta.

Bezdolne ruchy ciepłe cząstek doprowadzają do zderzeń jonów i do zubożenia ich przy zetknięciu się jonów o przeciwnych ładunkach. Jest to tzw. proces rekombinacji jonów, który zmniejsza ich ilość.

Na mniejszych wysokościach, choć gęstość powietrza jest większa, jednak działanie promieni słonecznych jest słabsze. Wraz ze wzrostem wysokości jonizacyjnej działanie promieni słonecznych wzrasta, jednak ilość jonów przypadających na 1 cm³ rośnie tylko do pewnej granicy ze względu na malejącą gęstość powietrza.

Wynika z tego, że gęstość jonów jest niejednakowa i na pewnych wysokościach koncentracja ich jest największa, co można sobie przedstawić w postaci pewnych warstw jonosfery. Zjonizowane powietrze, obok właściwości pochłaniania i załamania fali elektromagnetycznych, może w dużym stopniu powodować odbijanie fal (coś w rodzaju lustro). Odkrycie warstw zjonizowanych przypało w udziale dwóm uczonym: Kennellego i



TAK TO WYGLĄDAŁO

W dniu 11 czerwca podczas dorocznych wyścigów samochodowych w Le Mans w zachodniej Francji, miała miejsce tragiczna katastrofa samochodowa, w której poniosło śmierć 77 osób. Na zdjęciu: szczątki samochodu po eksplozji. Fot. — CAF

TAL 204 mówi: „mokra — sucha” Atom — rachmistrz, wagowy i... strażak

W wykończalni kombinatu włókienniczego tkanina ma za chwilę iść do druku, w czasie którego uzyska barwność. Ale przedtem trzeba ją nasycić odpowiednim roztworem chemicznym i odpowiednio wycisnąć. Czynność tę wykonują walcze maszyn. Wystarczy jednak, aby walcze po obu swoich stronach były nieco inaczej ustawione — otrzymuje się towar zły. A przecież walcze regulowane są ręcznie. Wystarczy więc sekunda nieuwagi — i prawie gotowa tkanina staje się brakiem...

A czy nie można automatycznie nadzorować właściwego ustawienia walców? Do niedawna było to niewykonalne. Obecnie nad tą sprawą czuwa... energia atomowa, ściślej mówiąc — promienie wysyłane przez promieniotwórczy tal 204.

Na maszynie nasycająco-odciskającej umocowane są dwie komory jonizacyjne. A pod spodem, po drugiej stronie biegnącej przez walcze taśmy tkaniny, znajduje się pudełko z promieniotwórczym izotopem talu. Promienie beta, wysyłane przez tal, „przebiegają” dokładnie tkaninę. Promienie te — zależnie od wagi tkaniny są przez nią w mniejszym lub większym stopniu pochłaniane; bardziej wilgotna, mniej wycisnięta tkanina pochłonie ich więcej. Stopień pochłaniania wskazuje właśnie komora jonizacyjna, w której pod wpływem dochodzących tu promieni wytwarza się prąd elektryczny, mierzony miliamperomierzem. Wskazówka miliamperomierza wskazuje w rezultacie z absolutną dokładnością na odpowiedniej skali stopień nawilżenia tkaniny. Dzięki temu tkanina może być sprawdzana na całej swojej szerokości, a ustawienie równoległe walców może być ściśle nadzorowane również podczas biegu maszyny.

Dlaczego zastosowano tu właśnie tal 204? Okazało się, że ten promieniotwórczy izotop jest łatwy do otrzymania w reaktorze jądrowym, że jest bardzo tani, posiada zaś dostateczną siłę promieniowania oraz długi okres półrozpadu, a więc dużą zdolność pracy. Dobre izotopy dla tej operacji kontrolnej zależą od grubości tkaniny oraz siły promieniowania. Tak np. promieniotwórczy izotop węgla wysyła promieniowanie tak słabe, że cienki papier pochłania je całkowicie. Dla kontroli zaś trzeba, aby część promieniowania doszła do komory jonizacyjnej, aby można było określić, jaka część promieniowania została przez kontrolowaną tkaninę pochłonięta. Oprócz talu 204 używany bywa w tej samej aparaturze także stront 90 — promieniotwórczy izotop strontu.

Czwórka „atomowych nadzorców” pilnuje ceraty

Na podobnej zasadzie zbudowano prototyp przemysłowego aparatu do kontroli równomierności pokrywania tkaniny substancją oleistą podczas produkcji ceraty. Tylko że tutaj już czworo „magicznych oczu”, chwytając odpowiednio wysyłane przez izotop promieniotwórczy promienie, kontroluje kolejno właściwość nałożenia pierwszej warstwy gruntu, po czym warstwę drugiej, podkładu pod warstwę wykończającą i wreszcie warstwę wykończającą.

Aparat ten wypróbowano już w fabryce im. Nogina w Kunciewie. Stwierdzono, że taki system kontroli pozwala na

wielką oszczędność substancji chemicznych używanych przy wyrobie ceraty oraz na znacznie lepszą jakość produkcji. Obecnie fabryka „Tekstilpribor” produkująca aparaturę dla przemysłu włókienniczego wykonuje pierwszą serię tych aparatów dla fabryk ceraty i dermatoidu.

„At mowiy matematyk” w tkalni bawełny

W fabrykach bawełnianych ważną rzeczą jest ścisła kontrola jakości niedoprędu, jakości przędzy i tkaniny. W tym celu istniało wiele przyrządów, przeprowadzających kontrolę mechanicznie. Ale kontrola ta polegała na sprawdzaniu grubości tkaniny, nie zaś na sprawdzaniu jej wagi. Tak zwany „współczynnik rozmałości” wagi bywał obliczany w ten sposób, że cięto tkaniny około 200 trzycentymetrowych próbek, które ważono, a następnie żmudnie przeprowadzano odpowiednie obliczenia, co zajmowało dwóm laborantom pół dnia pracy. Tymczasem po zastosowaniu aparatu, w którym wykorzystano promieniotwórczy izotop do „ważenia” tkaniny w każdym jej miejscu, jak chcemy sprawdzić, można w ciągu kilku minut otrzymać potrzebne dane dla ustalenia poszukiwanego współczynnika, świadczącego o jakości tkaniny. Dokładność przy tym jest znacznie większa, a czas kontroli około 30 razy krótszy.

„Atomowy strażak”

I jeszcze jedno zastosowanie znalazła energia atomowa w przemyśle włókienniczym: pełnią rolę „strażaka” zapobiegającego pożarom. W tej roli zresztą występuje nie tylko w fabrykach włókienniczych, ale również w zakładach papierniczych i... pralniach chemicznych, gdzie w parach benzyny pierze się tkaniny, zwłaszcza jedwabne.

Otóż podczas szybkiego biegu tkaniny czy papieru poprzez walcze maszyn powstaje w tych materiałach tak zwana elektryczność statyczna (kolejny drukarz i dziennikarz wiedzą, że wychodząca z maszyny rotacyjnej gazeta, „klei się”, nie chce pozwolić na rozłożenie kart — jest to właśnie przykład powstawania takiej elektryczności). Napięcie dochodzi nierzadko do bardzo wysokich liczb. A wtedy łatwo o iskrę. Co zaś znaczy iskra — w pomieszczeniu wypełnionym delikatnym pyłem papierowym, kurzem, pochodzącym z włókna, czy też — w pralniach — rozpyloną benzyną — nie trzeba chyba bliżej objaśniać. To pewny wybuch, a potem groźny pożar.

Ale oto na pomoc przychodzi promieniotwórczy izotop wspomnianego talu. Umieszczony obok walców, powodujących powstawanie elektryczności statycznej, izotop jonizuje powietrze. A zjonizowane powietrze, jak wiemy, jest dobrym przewodnikiem elektryczności. A więc w ten sposób można doprowadzić do biegnącej przez walcze tkaniny groźny ładunek elektryczny, można całkowicie zapobiec możliwości wybuchu.

Coraz szerszym frontem wdziera się do przemysłu technika atomowa, technika oparta na wykorzystaniu własności promieniotwórczych ciał, sztucznie produkowanych w reaktorach atomowych. To właśnie stanowi o istocie „wieku atomowego”, w którym żyjemy. Z. GRUDNICKI

Młodzi artyści na cześć Festiwalu



Artystyczne konkursy festiwalowe cieszą się wielkim zainteresowaniem ze strony młodych twórców. Wielkie koperty z dziełami plastycznymi przychodzą do Warszawy z całego świata. Na zdjęciu widzimy piękną grafikę meksykańską zatytułowaną: „Pokój — przyjaźń”. Godło autora — „Salamanka”.



JASKI

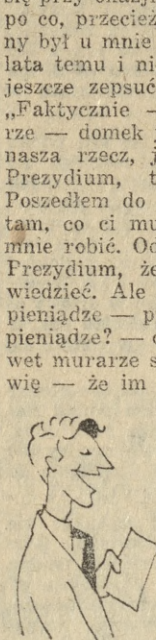
Dwa zażalenia

— Nazywam się Krystyna Rembasz. Mam zażalenie w sprawie mieszkania. Dach dziurawy, sufit przecieka, woda kapie na łóżko, a o remont nie można się doprosić. W Prezydium MRN najpierw zaplanowali ten remont na 1954 rok, a potem powiedzieli, że nie mogą nic robić, bo to jest mały domek, jednorodzinny, a ja jestem córką właściciela. Rzeczywiście nie mamy mieszkania i razem z mężem i dziećmi mieszkamy u ojca, który ma domek i hektar ziemi. A przepis mówi, że nie remontuje się mieszkań w domkach jednorodzinnych u krewnych właściciela. Więc ja byłam w Komisji Sanitarnej i dałam im pismo, że remont jest konieczny. Zaniósłam pismo do Prezydium, ale nie pomogło. Trzy lata już tak czekamy na ten remont — i nie. A innym wyremontowali. Na naszej ulicy pod 23 u Gapińskiego mieszka jego córka, to jej wyremontowali mieszkanie. Córce Witosińskiego też wyremontowali, mimo że u ojca. Więc jak to jest?



— Nazywam się Dews. Mam zażalenie w sprawie mieszkania. Dach w porządku, dachówka jak nowa, bo ja o swój domek dbam jak tylko mogę. Tymczasem Prezydium MRN przysłało mi murarzy. Po coście przyszli? — pytam się.

„Będziemy remontować” — odpowiadają. Ale ja się wcale o remont nie starałam! „Nie ważne — mówią — jest nakazany remont i zaraz przystępujemy do rozbiórki dachu”. Za pozwoleniem, wołam, jakże to tak, bez zgody właściciela? mi mo że dach w porządku? „Cały remont kapitalny będziemy robili — odpowiadają — to i dach się przy okazji zmieni”. Ludzie, po co, przecież remont kapitalny był u mnie już robiony dwa lata temu i nie zdążyło się jeszcze zepsuć od tego czasu! „Faktycznie — mówią murarze — domek jak złoto, ale nie nasza rzecz, jest nakazanie z Prezydium, to trzeba robić”. Poszedłem do Prezydium i pytam, co ci murarze mają u mnie robić. Odpowiadają mi w Prezydium, że nie potrzebują wiedzieć. Ale po co marnować pieniądze? — pytam. — Pańskie pieniądze? — odpowiadają. Nawet murarze się dziwią — mówią — że im kazano remontować dom, który w ogóle remontu nie potrzebuje. Murarze nie mają nic do gadania — odpowiadają w Prezydium. I rzeczywiście — rozważano mi cały dach. Młotami musieli go rozbijać, bo dachówka była naprawdę mocna i cement trzymał doskonale. Poszedłem z zażaleniem do samego przewodniczącego Prezydium. „Nie znam dokładnie tej sprawy — mówi — ale słyszałem, że wasz lokator z pięt, Brylewski, chce mieć dodatkowy komin. Trzeba mu podciągnąć ten komin z parteru, to bardzo mroźny chłopek. Przy okazji kapitalne go remontu, rozumiecie, w ten sposób nikogo to nie będzie kosztowało. Ale jeśli się nie rozumnie upieracie...” Ja się upierałem. Wtedy w miejsce rozbitej dachówki murarze założyli nową, tylko już w gorszym gatunku. A ja dostałem pismo z PRN, że mam sam



podciągnąć komin po szczytowej ścianie na zewnątrz budynku. Więc ja się pytam: po co murarzom kazano rozbierać dobry dach i zakładać gorszy, oraz dlaczego ja mam ponosić koszty i oszczędzać dom za własne pieniądze, dlatego tylko, że ob. Brylewski jest rzeczywiście mroźnym człowiekiem?

Obydwa zażalenia złożone zostały przed kilkoma dniami w jednym i tym samym mieście, a mianowicie w Chodzieży, na spotkaniu z czytelnikami „Głosu”. Spotkanie odbyło się w Prezydium MRN. Ob. Dews siedział na sali obok obywatelki Rembasz.

Ponura tajemnica

Mój przyjaciel Albin spotkał się ze mną na kawie. Poznaniacy zwykle spotykają się na kawie. To, że ta kawa zamienia się często na zwykłą wódkę, świadczy tylko o lokalnej fantazji i nie jest inną historią, jak mawiał stary Dickens.

Albin był smutny i melancholijny.

— Co ci jest, przyjacielu, co ci? — zapytałem w lekkiej miejscowej gwarze.

— Grozi mi proces sądowy, względnie zajęcie nieruchomości, względnie kryminal — odparł Albin.

— Za co?

— Za długi...

— Za długi? Wiem, że masz wiele wad, ale wiem też, że długów nie masz, choćby z tej prostej przyczyny, że nie znajdujesz się chyba taki naiwny, który zechciałby ci pożyczyć pięć groszy...

Albin posmutniał jeszcze bardziej.

— A jednak chcę cię zamknąć.

— O jaką sumę chodzi?

— O złoty pięćdziesiąt...

— Mów jasnie! — steknąłem. A może ty majacysz? Nie widzisz czasami na jawie takich małych, sympatycznych, białych myszek? Nie kiwają na ciebie ogonkami? Nie uśmiechają się i nie piszcza: kili, kili?

Albin wyjął portfel, gmerał w nim długo, wreszcie podał mi blankiet urzędowy wysłany przez Urząd Stanu Cywilnego w Poznaniu.

Czytałem pełen najgorszych przeczuć:

„Na podstawie zarządzenia Ministra Ziem Odzyskanych i Spraw Wewnętrznych z dnia... Dziennik Urzędowy numer... oraz zarządzenia wykonawczego nr... wzywam Obywatela do uiszczenia opłaty w wysokości 1,50 zł (słownie: jeden złoty pięćdziesiąt groszy) za dokonanie wpisu marginesowego do akt nr...”

W razie niezapłacenia w terminie do dnia... należność zostanie ściągana w drodze egzekucji.

Albin miał łzy w oczach.

— Człowieku, mówię ci — człowieku? Po co ci się zachciało tego dokonania wpisu marginesowego do akt?

— Nie — płakał Albin — nie chciałem wpisu, sami wpisał. Nawet nie wiem, co to jest... W tym tkwi jakaś ponura tajemnica...

ESKA

Anekdota

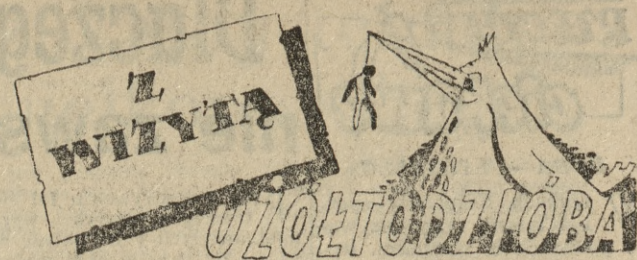
Sila w języku

Pewien uczonek włoski, żyjący na początku ubiegłego wieku, wybrał się w podróż dyktansem. Na jednym z zakrętów nastąpiło zderzenie z jakąś furmanką chłopską. Wyciągnęła się wtedy „żywiona wymiana zdań” między woźnicami, z której zwycięsko wyszedł wieśniak.

Uczonek, przychodząc do sukursu swemu furmanowi, zauważył złościwie pod adresem chłopca:

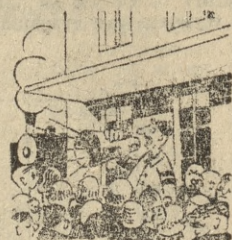
— Widzę, że nie zbywa ci siły w języku. Widocznie nabyliście jej przez dobre odżywianie się. Szkoda tylko, że z wykształceniem jest u was znacznie gorzej.

— Nic dziwnego — odparował chłopiec — odżywiany się sam, a wykształcenie otrzymujemy od was.

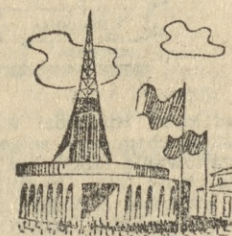


Oprowadzanie po Poznaniu (Fragmenty)

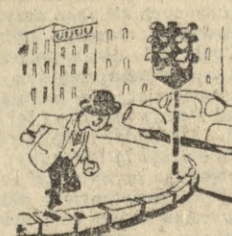
„Przewodnik z PTT-K” do tłumy turystów:



— Z dworca, proszę obywateli, moglibyśmy się udać na zwiedzanie miasta wspaniałym „Fordem” lub niemniej doskonałą „dorożką” konną. Nieorientowani przybysze z prowincji, np. z Warszawy — używają tylko tramwajów. Prawdziwemu poznaniakowi nigdy się to nie zdarzy. Jeśli się naprawdę spieszy, używa dorożki. My wobec tego podziemy pieszo.



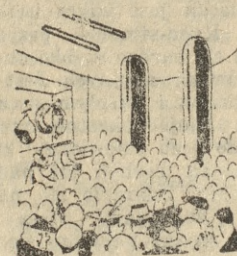
Oto tereny Międzynarodowych Targów Poznańskich. Nazywają się „poznaki”, ale przyozdabiane są plastycz nie przez sily warszawskie. Taki to już zwyczaj u nas w Poznaniu, że my dostarczamy stolicy co lepszych artystów opery i dramatu, których tam brakowało, a stolica w zamian przysyła nam plastyków, których mamy dosyć na miejscu. Stąd nowa nazwa: „Międzynarodowe Skargi Poznaki”. Podobno w okresie Targów ma powstać pismo kulturalne Poznań, w którym będą pisać literaci warszawscy na sesji wyjazdowej. Dyrekcja Targów powiększyła ostatnio wydatnie tereny targowe, włączając w ich skład również Collegium Malus, specjalnie, aby umożliwić zagranicznym gościom obelżenie jedynej w swoim rodzaju latorośli w Europie, a mianowicie rusztowania — które zakwitnie z pewnością, gdyż jest od lat podlewane oddolnie przez chuliganów i pieski. Idziemy dalej!



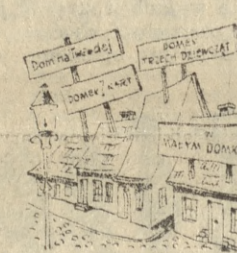
— Teraz musimy stanąć. Ru chu wprowadzić nie ma, ale jest... sygnalizacja. Ma ona w Poznaniu tradycję od czasów biblijnych. Tutaj bowiem miały się znajdować wrota do raju, których pilnował z mieczem ognistym święty Milicy. Idziemy dalej!

atrakcyjny i regionalny eksponat: — „Psa łacuchowego rasy Kundel”, obok znajduje się zwierze, które, jak nas informuje napis, nazywa się: — „Głs tuczona wielkopolska” — dar Kula Gospody Wielkich z Guleza.

W najbliższym stuleciu Ogród ma być przeniesiony na Solacz, a na jego terenie, jako rekompensata dla mieszkańców, powstanie fabryka perfum: „Poemat”, „Ekstaza” lub „Konwalia”. Idziemy dalej!



Tutaj mieszczą się poznaki „Delikatesy”. Można w nich nabyć wszystko to, co można kupić w każdym innym sklepie MHD, czy PSS, z tą różnicą, że w „Delikatesach” otrzymujemy to z większą „kulturą handlu”. Celem zwiększenia przelotowości sklepów, dyrekcja sprowadza z zagranicy specjalny aparat popychający i ubijający klientów w zwartą masę. Podobno mają być sprzedawane tutaj również delikatesowe czasopisma, jak: „Przekrój” czy „Dookoła Świata”, oczywiście, na specjalnym „delikatesowym” papierze. Idziemy dalej!



Przed nami placówka, która zastępuje się specjalnie na polu... odbudowy Poznania — Państwowe Teatry Dramatyczne. Dały one ostatnio naszym miastu całą dzielnicę mieszkaniową złożoną z „Domu kobiet”, „Domku trzech dziewcząt”, „Domu na Twardziej”, „W małym domku” i „Domku z kart”. Wobec nie dostosowania tychże do panoramy naszego miasta czynnik „Miastoprojektu” zarządziły przerobienie Teatru wstawia więc wkrótce: „Okrąg lak kobiet”, „Okrągłaczek trzech dziewcząt”, „Okrągłak na Twardziej”, „W małym okraglaczku” i „Okrągłaczek z kart”. Wszystkie te budynki zajmie „Miastoprojekt”. Do Dyrektora Teatrów zwraca się „Złotodzieb” z serdecznym podziękowaniem za uniemożliwienie występów studentek zespółów w salach teatralnych. Idziemy dalej!

STEFAN MROCZKOWSKI
RYSZARD PODLEWSKI

PERIODYSTA ALBO OKRESNIK

W ramach odwłży świntuszy i lzy.

O JEDNYM NA „ETAPIE ODWAGI”
Odważny niesłychanie!
odważa każde zdanie...

DWIE

TESKNOTY STUDENTKI

Czując do wiedzy tęsknotę:
zaczyna studia, a potem,
czując tęsknotę nieznana,
rzucza studia, by wyjść za mąż.

NA JURY ELIMINACJI ZESPOŁÓW ŚWIETLICOWYCH

z dwudziestu znawców w ko-
[misi] z sąda.
bez każdy zasięga opinii...
[sądzi].

JANUSZ WERONICZAK
RYSZARD PODLEWSKI

Po witce do KEBKA

AUTENTYCZNA RODĄKÓW ROZMOWA

Młoda dziennikarka warszawska pisma przyjechała do Poznania, by obejrzeć prace przygotowawcze do Targów. Na placu spotyka jednego z projektantów. W trakcie rozmowy dziennikarka pyta: „Pan z Poznania, prawda? „Nie, z Warszawy” — pada odpowiedź. Po chwili dziennikarka rozmawia z jednym z inżynierów. „Pan zapewne z Poznania?” — pada pytanie. „Z Warszawy, proszę pani” — odpowiada z uśmiechem inżynier. Kiedy trzeci z kolei kierownik robót okazał się warszawianinem, dziennikarka rozejrzała się po placu i zawołała: „Aha, teraz to już wiem, dlaczego tutaj taki bałagan...”

Autentyczne.

WSPÓŁPRACA FRYZJERÓW Z PLASTYKAMI

W „oltarzyku” z wikliny tkwi bezmyślnie, uśmiechnięta główka. Całość dookoła „zdobi” wstążka (różowa) i kwiatki (papierowe).

Co to jest? — spytała. — Okno wystawowe zakładu fryzjerskiego (I kategorii) na przeciwko Dworca Zachodniego.

Tę „piękną” wystawę przygotowali specjalnie na Targi nasi fryzjerzy. Domyślamy się więc, że dla równowagi golić będą w tej fryzjerni — plastycy.

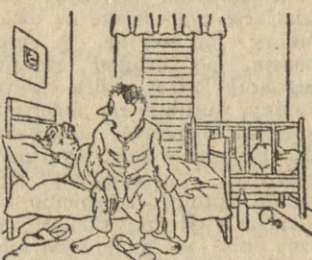
A jedno i drugie — ku przerażeniu targowych gości.

REMONTY, REMONTY...

Znane jest takie przysłowie — „Gdzie się człowiek spieszy tam się diabeł cieszy”. Wmyśl tego przysłowia Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane w Kaliszu prowadzi remont mieszkania przy ul. Zubrzyckiego nr 53 w Kaliszu tak, aby diabeł nie miał powodu do uciechy, tzn. w ślimaczym tempie. Gorzej, że powodu do uciechy nie ma ja również mieszkaniec tego domu: okna nie chcą się domykać, drzwi są krzywe, podłoga koślawą.

Nie należy jednak narzekać przed czasem. Remont nie jest jeszcze ukończony, możliwość dalszych niespodzianek — istnieją. Chyba, że MPRB najpierw skończy z brakorobstwem, a potem — z remontem.

Jeszcze o dzieciach



— Dziecko zasnęło, czas już wstawać...

Mały Piotruś wraca ze szkoły do domu.

— Tatusiu, przewróciłem się i stukłem kolano — mówi.

— I wcale nie płakałeś?

— Chciałem, ale myślałem, że ciebie nie ma w domu...

— Jesteś wielki osio! — krzyczy Staszek.

— A ty, jeszcze większy! — odpowiada ma Janek.

— Nie zapominajcie, moje dzieci, że ja także jestem w pokoju — odzywa się zniecierpliwiony tata.

Z satyry XIX wieku

O pewnym lekarzu

Ze to lekarz uczony — nikt temu nie przeczy:
poznał wszystkie choroby, prócz tych, które leczy...



— Psiakość... przed minutą był przecież na stole!

Anglicy o Amerykanach

Wydawnictwo londyńskie „S. Evelyn Thomas” wypuściło ostatnio na rynek książkę pt. „Śmiejemy się z Jankesów”. Zbiorek zawiera szereg anegdot i dowcipów na tematy związane z Ameryką. Krótko mówiąc, zbiorzek ten jest wykładnikiem opinii wyspiarzy brytyjskich o swoich amerykańskich pobratymcach.

Pomniki

Wielki transatlantyk przybija do portu nowojorskiego. Na pokładzie stoi Amerykanin i pokazuje pełen dumy Statuę Wolności. Pewnemu Francuzowi. Ten ostatni myśli przez chwilę, a następnie odpowiada:

„Tak, u nas stawia się również pomniki zasłużonym nieboszczykom!”

Można taniej

— Chciałabym się rozwiść ze swoim mężem! — zwróciła się pewna amerykańska artystka filmowa do

znanego adwokata nowojorskiego.

— Proszę bardzo! — odpowiedział jej usłużnie adwokat. — Za 500 dolarów skłonny jestem wszcząć proces rozwodowy.

— Co? 500 dolarów? — krzyknęła zdumiona artystka. — Nie z tego... Taniej wypadnie, jeżeli każę go zastrzelić... To kosztuje tylko 300 dolarów!

Modlitwa

Jeden z farmerów zabrał do Waszyngtonu swego syna, aby pokazać mu prace Kongresu. W Sali Izby Reprezentantów znaleźli się w momencie rozpoczęcia sesji. Na podwyższeniu stał ka-

plan i w sposób zwyczajowo przyjęty odmawiał modlitwę.

— Ojciec! — zapytał chłopiec. — Dlaczego ksiądz modli się za Kongres...?

— On wcale nie modli się za Kongres, mój chłopcze! Wprost przeciwnie... Gdy ujrzał zebranych tu na sali przedstawicieli, zaczął modlić się za kraj!

Ocena Szekspira

Pewien Amerykanin postanowił zapoznać się z dziełami Szekspira. Po przeczytaniu kilku zaledwie katek, odezwał się do swej żony:

— Wiesz, on nawet nieźle pisze, ten Szekspir! Zalóżę się z tobą, że w mieście naszym znajdziesz zaledwie dwadzieścia osób, które tak dobrze potrafią pisać.

MAK